

## Piotr Zaremba: Dramatyczny jest często OK. Ale czy nie zaszkodzę dyrektorowi Słobodziankowi?

„Widok z mostu” Arthura Millera w interpretacji Glińskiej na małej scenie Teatru Dramatycznego został umiarkowanie pochwalony przez recenzentów. Zabawny był skądinąd sposób, w jaki ona sama rekomendowała swoje nowe dzieło – pisze dla Teologii Politycznej Piotr Zaremba. Przeczytaj kolejny felieton w serii „Teatr według Zaremby”.

Agnieszka Glińska, była dyrektorka Teatru Studio, robi spektakle „pośrodku”. Biorąc się za teksty klasyczne (przy czym ja za klasykę mam już dramaty XX-wieczne, ale takie sprzed lat kilkudziesięciu) raz za razem przypomina, że nie traktuje tekstu ze stuprocentowym pietyzmem. „Zbyt powolne” fabuły podkreca biorąc je w nawias umowności, albo szpikując współczesniającymi gadżetami .

Zarazem jednak jako reżyserka nie manipuluje przesłaniami (a w każdym razie robi to rzadziej niż inni), nie dopisuje całych fragmentów. Często dba o to, aby robić teatr w swoisty sposób popularny. Jest to jednak wciąż teatr bardziej inscenizatora niż teatralnego dramaturga, ugniatającego dawne teksty dowolnie, jak ciasto.

Sztuka o imigracji?

„Widok z mostu” Arthura Millera w jej interpretacji na małej scenie Teatru Dramatycznego został umiarkowanie pochwalony przez recenzentów. Zabawny był skądinąd sposób w jaki ona sama rekomendowała swoje nowe dzieło.

Zgodnie z dominującym trendem zakładającym, że wszystko ma się kojarzyć ze współczesną polityką, kładła nacisk na nieludzkie prawo imigracyjne obowiązujące w USA, które istotnie ma w sztuce wpływ na wydarzenia. Opowiada ona bowiem o uczuciu, jakim włoska dziewczyna urodzona w Ameryce obdarza nielegalnego imigranta z jej pierwszej ojczyzny. Aresztowanie jego i jego brata przez urzędników imigracyjnych to ważne zdarzenie w całej tej historii.

*Reżyserka nie manipuluje przesłaniami (a w każdym razie robi to rzadziej niż inni), nie dopisuje całych fragmentów. Często dba o to, aby robić teatr w swoisty sposób popularny*

Zawsze się zastanawiam, na ile próbować debatować z odwołującymi się głównie do emocji artystami o polityce, a tu właściwie nawet o historii. Nie wydaje się, aby Miller,

skądinąd lewicowy liberał, pisał tę sztukę jako protest. Owszem, pokazuje dramatyczny spłot okoliczności w następstwie których dla przybyszów z kraju tak biednego jak Włochy, Ameryka staje się ziemią obiecaną. Ale tego nie komentuje – surowe zdaniem Gliškiej prawo imigracyjne jest tu czymś w rodzaju *deus ex machina*.

Można by nawet przekornie próbować polemiki. Jakby się dobrze zastanowić sztuka wykazuje przecież, jak trudno adaptować się przybyszom w kraju, gdzie obowiązuje prawo, a nie przywieziony z Sycylii mechanizm vendetty. Z tego punktu widzenia opinia na temat przyzwolenia bądź nieprzyzwolenia na imigrację pozostaje, gdy ją sobie wyrabiać na podstawie sztuki, relatywna.

Zarazem, o czym teatralny reżyser może nie wiedzieć, główne powody imigracyjnych restrykcji były w Ameryce ekonomiczne. Za ich utrzymaniem opowiadał się świat pracy, bo pracujący za marne centy imigranci byli jego naturalnymi konkurentami obniżającymi płace. Za to konserwatywny biznes chciał niekontrolowanego napływu. Nie zawsze wszystko układa się według współczesnych ideologicznych kalek.

### Krok Marylin Monroe

Rzecz jednak w tym, że pozostając względnie wierna tekstowi Millera, Glińska powiedziała jedno, zrobiła co innego. Nie pokazała nam bynajmniej historii o bezdusznym amerykańskim państwie, ba – zadbała, aby było go jak najmniej (sceny z urzędnikami są jedynie odczytane, oni sami się nie pojawiają). To opowieść o krzyżujących się namiętnościach – o dziewczynie, Catherine, miotającej się między ukochanym Rodolphem, czyli młodym mężczyzną, i wujem Eddiem, mężczyzną w średnim wieku, obdarzającym ją coraz bardziej opresyjną miłością. Także i o tym, że prawo nie ureguluje wszystkiego, a w społecznościach do pewnego stopnia pierwotnych jest to niemożliwe w szczególności.

*Można by powiedzieć, że to  
rozrachunek włoskiej  
społeczności w Ameryce samej ze  
sobą. Oczywiście markowana –  
bo przecież Miller Włochem nie  
był*

To wreszcie także mała  
rozprawka o dawnym  
świecie, gdzie nawet  
przy najlepszych  
chęciach  
poszczególnych osób  
obowiązywały jeszcze  
dość bezwzględne  
reguły pojmowania

męskości i kobiecości. Można by powiedzieć, że to rozrachunek włoskiej społeczności w Ameryce samej ze sobą. Oczywiście markowany – bo przecież Miller Włochem nie był. Włochem jest za to narrator, mecenas Alfieri.

Czy ta opowieść jest dziś aktualna? Reżyserka zawiesza ją trochę poza czasem, na przykład ubrania bohaterów stanowią dziwny konglomerat, a nie kopię stylu z początku lat 50., kiedy sztuka była napisana i pierwszy raz wystawiona na scenie. Także ich styl bycia jest w zasadzie wyzbyty historycznej rodzajowości – poza może piosenką Rodolpha i krokiem Catherine kojarzącym się z początkującą Marylin Monroe. Trudno jednak nie doznać wrażenia, że pomimo pretensji do uniwersalności opowiada nam się o świecie już zamkniętym, minionym. Co nie znaczy, że wiele spostrzeżeń dotyczących ludzkiej natury nie jest dalej aktualnych.

Umowność kontra aktorzy

Grane jest to wszystko na idealnie okrągłej scenie, nieznacznie tylko górującej nad podłogą. Widownia otacza aktorów, są oni bezpośrednio przy nas tworząc iluzję naszego udziału w zdarzeniach lub przynajmniej kibicowania im z

pozycji członków tej samej wspólnoty.

Jak często w jej inscenizacjach, Glińska lawiruje między dosłownością i umownością. Pewne fragmenty „zbyt długiego” tekstu są streszczane, emocje bohaterów wyrażane ruchem – przy skąpych dekoracjach Moniki Nyckowskiej w pamięci pozostaje na przykład scena, kiedy Catherine i jej ukochany Rodolpho układają choinkę z krzeseł, a potem ją dekorują – nadchodzą święta Bożego Narodzenia. Umowność zaczyna się od pierwszej sceny, kiedy mecenas Alfieri, przewodnik po wydarzeniach występuje w roli konferansjera prezentującego bohaterów przez mikrofon. A kończy wzięciem w największy może cudzysłów samej, tragicznej końcówki. Oszczędza nam się melodramatu krwawego starcia na rzecz streszczenia jego sensu.

Ja się na to wszystko godzę, ale żeby taką wizję do końca zrealizować, trzeba mieć perfekcyjny zespół. Glińska posługuje się aktorami średnimi. Stosunkowo najlepiej wypadają młodzi: Martyna Byczkowska jako Catherine i Marcin Wojciechowski jako Rodolpho. Reszta jest poprawna. Łukasz Lewandowski jako wuj Eddie zdaje się być stworzony do takiej roli, swoją fizjonomią zwykłego człowieka, ale zbyt często zdaje się gubić w meandrach własnej roli. Może zresztą miał zły dzień? Ale oglądałem przedstawienie ledwie w dwa miesiące po premierze.

*Jak często w jej inscenizacjach,  
Glińska lawiruje między  
dosłownością i umownością*

Oddzielnym,  
kontrowersyjnym  
pomysłem jest  
obsadzenie kobiety,  
Anny Moskal, w roli  
adwokata Alfieriego.

Glińska nie zmienia mu płci, każe jednak aktorce grać faceta w garniturze. Nie

wypada to strasznie, zadaję sobie jednak pytanie o sens. Czy chce się nam powiedzieć, że prawo w przeciwieństwie do męskich instynktów jest przesycone pierwiastkiem kobiecym? Pokrętnie i nieprzekonujące. A może po prostu reżyserka dba o to, aby zapewnić kobietom swoisty parytet? W tym przedstawieniu, jak w całym teatrze zresztą, dominują role męskie (tu 4:2). Po tej korekcie jest remis.

Jest jeszcze coś. Prawie wszyscy aktorzy wiele razy sypali się podczas przedstawienia, mylili słowa, wchodzili sobie w kwestie itd. Zaczęło się już od pierwszej prezentacji, kiedy Anna Moskal-Alfieri pomyliła nazwiska kolegów. A potem poszło – i to nie były pojedyncze niewinne przejęzyczenia. Zwłaszcza w tak umownej konwencji podawania tekstu to mocno przeszkadzało. Stosunkowo najbardziej bezbłędnie zagrali znów Byczkowska i Wojciechowski.

Teatr Dramatyczny obsługuje w sumie cztery sceny i ma duży zespół. Widać gołym okiem kontrasty między największymi, bezbłędnymi tuzami, a drugim i trzecim garniturem sforującym się czasem na czoło. Może zresztą ta opinia brzmi cokolwiek zbyt krzywdząco. Może to w ogóle kwestia złego dnia, przypadku? Ale niedawno wychwalałem feministyczną „Miłość od ostatniego wejrzenia”, też na scenie imienia Mikołajskiej. Tam pięć aktorek nie popełniło żadnego większego błędu, a swoją grą wręcz szarpało naszą uwagę od pierwszej do ostatniej kwestii.

Przypadek Dramatycznego

Na koniec uwaga bardziej ogólna, trochę kontra temu co napisałem przed chwilą. Bez wątplenia człowiek o moich poglądach ma w świecie polskiego teatru na ogół wybór między różnymi odcieniami lewicowości, czasem bardziej natarczywej, czasem mniej. Już się z tym pogodziłem. W wielu wypadkach zresztą między deklaracjami (jak wtedy, gdy Glińska protestuje „w imieniu imigrantów”), a logiką sztuki, drogi się rozchodzą. Na korzyść sztuki – co jest jakoś krzepiące. Częściej tak się zdarza w jednak pluralistycznej Warszawie niż w teatrach prowincjonalnych.

Na tle tej ogólnej konstatacji przypadek Teatru Dramatycznego jest szczególnie. Zdarzają mu się kikszy, także gdy chwyta się za bary z klasyką. Z pewnością ideowa wizja świata Tadeusza Słobodzianka jest mocno odmienna od mojej. A jednak muszę powiedzieć, że najczęściej wychodzę z niego przynajmniej z przewagą emocji pozytywnych. Sporo tu sztuk „dla ludzi”, sporo dobrych, ciekawych opowieści, sporo świetnych aktorskich kreacji. Czasem wręcz perełek jak w przypadku „Kobiet bez znaczenia” z Haliną Łabonarską i Małgorzatą Niemirską.

*Na tle tej ogólnej konstatacji przypadek Teatru Dramatycznego jest szczególnie. Zdarzają mu się kikszy, także gdy chwyta się za bary z klasyką (...) A jednak muszę powiedzieć, że najczęściej wychodzę z niego przynajmniej z przewagą emocji pozytywnych.*

Ale wspomnijmy też piekielnie inteligentną „Wizytę starszej pani” w reżyserii Wawrzyńca Kostrzewskiego. Albo skromne, niedocenione, wzruszające „Pociągi pod specjalnym nadzorem”. Albo stylowy „Kabaret”.

Albo niesamowicie zabawnego „Sługę dwóch panów” – grający w dwóch ostatnich sztukach Krzysztof Szczepaniak to oddzielny fenomen. Albo... Pochwaliłem nawet ostatnio radykalnie feministyczną „Miłość od ostatniego wejrzenia” , bo to w sumie również dobry teatr.

Boję się tylko, że swoją opinią zaszkodzę panu dyrektorowi. Pamiętam jak go zwalczała teatralna lewica, kiedy ważyły się losy jego dyrektorowania wieloma scenami równocześnie. Czy moje komplementy to nie będzie podstawa do wykazania mu czarno na białym „burżuazyjnego oportunistu”? W jakimś sensie ta uwaga dotyczy także najnowszej inscenizacji Glińskiej. Bo owszem kręcę nosem, ale to ciągle jest niezłe, ciekawe, warte rozmowy, przy wszystkich sporach i zastrzeżeniach.